

3. Rachunek z powołania

Bernarde, Bernarde, ad quid venisti?

To pytanie jest stałym rachunkiem sumienia z prawdy naszego powołania i naszego podążania za Chrystusem.

Jeśli robimy rachunek sumienia tylko w odniesieniu do samych siebie, zawsze kończy się to tym, że mylimy wolę Bożą, a więc nasze powołanie, z naszymi roszczeniami podszytymi pychą. Robimy rachunek jak firma, która prosperuje, jeśli coraz więcej zarabia dla siebie i realizuje własny interes. Tymczasem miarą owocności chrześcijańskiego powołania nigdy nie jest zysk, sukces ani samozadowolenie, lecz wierność Temu, który nas wzywa, gotowość utraty życia z Jego powodu i w sposób, w jaki On tego chce, powierzenie się Jego woli. Krótko mówiąc: ciągle „tak”, „tak” zawsze nowe, „Oto jestem” wobec Jego wezwania. W gruncie rzeczy, prawdę o powołaniu mierzy się tym, czy wciąż na nowo słuchamy głosu Umiłowanego, który nie przestaje nas wzywać, byśmy byli z Nim i byli Jego przyjaciółmi.

Dlatego gdy mówimy o Piśmie świętym, o ważności jego medytowania, o słuchaniu Ewangelii, Ojców i Kościoła, na przykład magisterium papieża, nie powinniśmy sądzić, że chodzi tylko o formację czy zdobycie solidnej kultury chrześcijańskiej i monastycznej. Bardziej chodzi o sprawdzanie, czy przeżywamy nasze powołanie, słuchając Tego, który nas wzywa, słuchając żywotnie, przez co nasza wierność karmi się i umacnia. To jak w powołaniu małżeńskim: nie wystarczy formalna wierność ani formalne trzymanie się przysięgi małżeńskiej. Relacja małżonków pozostaje wierna tylko wtedy, gdy żywi się wzajemnym słuchaniem, więzią uczuciową i realną wspólnotą życia.

Wspólnota, w której nie ma ciszy i medytacji Słowa Bożego, i to nie tylko głową, ale sercem, staje się nie po prostu niedouczone i powierzchowna. Staje się niewierna swojemu powołaniu, wezwaniu, które ma czynić życie zawsze nowym.

„Po co przyszedłeś?” – tego pytania nie powinniśmy więc słuchać jak pytania egzaminacyjnego, podchwytliwego, które ma nas pogrążyć. Jezus, św. Benedykt i św. Bernard doskonale wiedzą, że sami z siebie nie jesteśmy zdolni do wierności Jezusowej miłości, do tego, by Go nie zdradzać czy zapierać się Go. Jezus wie, że nawet jeśli, tak jak Piotr, obiecujemy oddać za Niego życie, pozostawieni sami sobie, prędzej czy później się Go zaprzemy. Jedyna prawdziwa i poprawna odpowiedź, jedyna sensowna, jedyna zgodna z naszym powołaniem, jedyna, która naprawdę mówi Chrystusowi „tak”, brzmi: „Jezu, przyszedłem, bo Ty mnie kochasz! Jestem tu, bo Twoja przyjaźń mnie pociągnęła. Chcę ją przyjąć i dlatego chcę, dzięki Tobie, stać się Twoim wiernym przyjacielem, zdolnym poprzez łaskę oddać całe życie za Ciebie, zdolnym być coraz bardziej przyjacielem wiernym Twojej nieskończonej wierności, na której muszę całkowicie się oprzeć, jeśli chcę Cię kochać aż do końca!”

Dlatego po Zmartwychwstaniu Jezus stawia Piotrowi, w sposób jeszcze bardziej bezpośredni to samo pytanie, na które Judasz nie chciał odpowiedzieć: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?” (J 21,15). Jakby chciał powiedzieć: „Przyjacielu, czy przyszedłeś, żeby miłować moją miłość czy też po coś innego?” Pyta go trzy razy, czy jest z Nim po to, aby odpowiadać na Jego przyjaźń. Jezusowi wystarczy, że Piotr będzie pamiętał, iż od początku poszedł za Nim, bo został przez Niego wybrany za darmo. Nie ma co się dziwić ani dramatyzować, że ktoś upadnie, że się zaprze. Istotne jest to, żeby nasza miłość odradzała się, zmartwychwstawała dzięki miłości Chrystusa, dzięki przyjaźni Chrystusa, który dla nas przelał całą swoją krew na krzyżu. I teraz Piotr w końcu pojmuję, że wymaga się od niego tylko tego, tylko tej wierności: „Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: «Czy kochasz Mnie?» I rzekł do Niego: «Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię Kocham».” (J 21,17).

Dopiero od tego momentu Jezus może wszystko odnowić, poczynając od naszego serca, odnowić naszą odpowiedź na powołanie, które nam dał.

Kiedy mnich Roman spotkał młodego Benedykta z Nursji, uciekającego od niebezpieczeństw Rzymu, pierwsze pytanie, jakie mu zadał, brzmiało dosłownie: dokąd zmierza, ku czemu się kieruje, *quo tenderet requisivit*. A „poznawszy jego pragnienie”, dał mu monastyczny habit i pomógł znaleźć miejsce i kształt przyszłego życia monastycznego w samotni Subiaco (św. Grzegorz Wielki, *Dialogi*, II,1). W gruncie rzeczy zapytał go *ad quid venisti?* jeszcze zanim Benedykt wszedł na drogę życia monastycznego, jakby chciał od razu sprawdzić to pragnienie, które pozwoli mu wytrwać do końca w swoim powołaniu. Roman nie pytał po prostu w sensie geograficznym, dokąd Benedykt idzie, zresztą sam Benedykt tego nie wiedział. Wiedział tylko, od czego ucieka: od Rzymu i od pułapek życia światowego, natomiast kierunkiem jego drogi było jedynie potężne pragnienie Boga i życia w pełni.

To pragnienie absolutu, nieskończoności, nie jest tylko motywem hagiograficznym. To natura naszego serca i, dzięki Bogu, wciąż spotykamy je u wielu młodych ludzi, albo u tych, którzy zachowali młodość serca. Problem w tym, że często nie spotykają nikogo, kto byłby zainteresowany właśnie tym pragnieniem, a nie czymś innym i kto potrafiłby je ukierunkować ku takiemu życiu, które pozwoli mu wypuścić pąki, rozkwitnąć i przynieść owoc.

Dzisiaj i zawsze najpoważniejszym przejawem upadku życia zakonnego jest sytuacja, w której, spotykając lub dostrzegając takie pragnienie u młodych ludzi, błakających się bez celu, „mistrzowie”, których napotyka, schlebiają ich pobocznym zainteresowaniom, zamiast wziąć na serio ich pragnienie nieskończoności, czyli Boga i Jego przyjaźni.

Św. Benedykt, gdy w 58 rozdziale Reguły mówi o przyjmowaniu kandydatów do życia monastycznego, jest w tej kwestii bardzo rygorystyczny. Nie chce łudzić tego najgłębszego pragnienia ludzkiego serca. Jeśli tego pragnienia nie ma, lepiej, by kandydat odszedł. Każe mistrzowi nowicjuszy badać: *si revera Deum quaerit* – „czy naprawdę szuka Boga” (RB 58,7). I tak, jakby od razu zaczynało się wychowywać go do powtarzania sobie pytania: *Ad quid venisti?* dodaje: „Po upływie sześciu

miesiący zostanie mu odczytana Reguła, aby wiedział, na co się decyduje” – *ad quod ingreditur*. (58,12)

Św. Benedyktowi zależy na tym, by żywe pozostało pragnienie celu ostatecznego, dla którego podejmuje się powołanie, zwłaszcza powołanie monastyczne, które jest całkowicie ukierunkowane na szukanie Boga i na Bożą miłość.

Dlatego w chwili profesji wieczystej nowicjusz śpiewa trzykrotnie wraz ze wspólnotą werset z Psalmu 118: „Przyjmij mnie, Panie, według Twego słowa, a żyć będę i nie zawieź mojej nadziei” – *ab expectatione mea* (RB 58,21; Ps 118,116).

Tak, Bóg nie może zawieść pragnienia, z którym przychodzimy do klasztoru, ale to my pierwsi nie możemy zawieść tego głębokiego pragnienia naszego serca. Nie możemy iść drogą powołania, zdradzając to, dla czego przyszliśmy, to, co nas pociągnęło i czemu powiedzieliśmy „tak”. A ci, którzy prowadzą wspólnotę i są odpowiedzialni za jej formację, nie mogą zapominać, by pytać odnośnie samych siebie i odnośnie powierzonych im braci czy sióstr: *Ad quid venimus?* – „Po co przyszliśmy?”

Trudno nie przypomnieć tu mocnych słów św. Pawła: „Wszyscy bowiem szukają własnego pożytku, a nie – Jezusa Chrystusa” (Flp 2,21).

Co to znaczy „szukać własnego pożytku”? To znaczy skierować ku sobie, albo ku jakiejś chwilowej, przemijającej osobistej korzyści, to dążenie serca, które zwraca je ku Bogu, ku Chrystusowi, ku Jego przyjaźni. Zamiast kierować się ku Temu, dla którego przyszliśmy: nie tylko do klasztoru, ale w ogóle na świat, dla którego się urodziliśmy, zamykamy się w korzyściach, interesach i wartościach, które nie są Nim, nie są dla Niego, nie są Jego przyjaźnią.

Ale uświadomienie sobie tego, dostrzeżenie tego „zdradzenia” Boga i tego, dla czego zostaliśmy stworzeni i powołani, może stać się początkiem odnowy, nowego życia, prawdziwego zmartwychwstania.